

Kolaż tajwańsko – japońsko – chiński

Paweł Janociński OP

Prowincja Taiwan?

“Nie przyjechałbyś zobaczyć położonego najbardziej na południe skrawka byłego Japońskiego Imperium?” Tak wyglądało zaproszenie od przebywającego na Tajwanie dominikańskiego współbrata, o. Andrzeja Wójcika. Z Japonii nie jest daleko, więc postanowiłem zobaczyć oryginalną wyspę z jej widoczną jeszcze japońską przeszłością, która po wojnie stała się państwem generalissimusa Chiang Kaisheka, i która obecnie traktowana jest przez chińskiego Wielkiego Brata jako odłączona od macierzy, jeśli nie zbuntowana prowincja.

Od razu po przylocie do Taipei przypadkowo zetknąłem się ze skomplikowaną polityczną sytuacją tego kraju. W celu uzyskania wizy (Polacy, Węgrzy i Czesi mogą ją otrzymać na lotnisku) przez pomyłkę zajrzałem najpierw do urzędu imigracyjnego zajmującego się wyłącznie „sprawami chińskimi”. Nie kryjąc pewnego rozbawienia skierowano mnie stamtąd do właściwego okienka gdzie rozpatrywane są sprawy wszystkich innych nacji. Ale czy te „sprawy chińskie” rozwiązywane są całkowicie tak, jak chcieliby tego mieszkańcy Tajwanu? – pomyślałem. Wygląda na to, że nie. W klasztorze słyszałem później autentyczną opowieść o pewnym znajomym jednego z braci, który poleciał do Shanghaju biorąc przez pomyłkę paszport opatrzony napisem „Tajwan”, a nie wymagany tam od Tajwańczyków dowód osobisty. Chiński urzędnik zobaczywszy nazwę wściekł się, rzucił paszport właścicielowi wrzeszcząc przy tym, że nie ma takiego kraju jak „Tajwan”.

O. Andrzej, subprzeor klasztoru św. Alberta w Taipei czekał na mnie na lotnisku. Przyjechał po mnie samochodem. Zobaczyłem deszczowe miasto spowite chmurami. Dobrze funkcjonujące pasmo autostrad i dróg szybkiego ruchu wokół stolicy. Zjazd z nich był dla mnie pierwszym zaskoczeniem. Uderzył mnie widok setek, jeśli nie tysięcy małych sklepików, warsztatów oraz innych punktów usługowych, które nie wiem dlaczego, kojarzą mi się ze zdjęciami nieistniejących już dzielnic żydowskich z przedwojennej Warszawy. Sklepek jest zarazem domem, wokół którego koncentruje się życie całej rodziny i jak widać życie dużej części miasta. W nowoczesnych dzielnicach, które później oglądałem, na przykład w Taipei World Center, jest inaczej. Widać tam wyłącznie eleganckie sklepy nie różniące się niczym od np. tokijskiej Ginzy.

Inny obrazek, który rzucił mi się w oczy to rzesze motocyklistów jadących wydzielonymi specjalnie dla nich pasmami jezdni, albo wciskających się w każdą wolną przestrzeń między samochodami. O. Andrzej chwali ten popularny tu środek lokomocji, który posiada nawet każdy z naszych tajwańskich współbraci. Ten mały motocykl nazywany przez Polaków „motorkiem”, ma pojemność silnika nie większą niż 150 c.c.. Posiadanie większego jest zupełnie nieopłacalne z punktu widzenia miejscowych przepisów. Dowiedziałem się, że istnieją niepisane reguły ruchu drogowego. Pierwsza zasada: nie skręcaj i nie hamuj nagle bez uprzedzenia innych, gdyż oznacza to wypadek. Widziałem „wciskanie się” motocykli i samochodów w przestrzeń tuż przed nami. Na szczęście jest w tym chyba nie tylko brawura i spryt, ale i pewna logika. Ze sposobu prowadzenia pojazdów można się podobno wiele dowiedzieć o charakterze tych, którzy nimi kierują, a może i o całym społeczeństwie?

Ogólnoazjatyckie problemy religijne

Klasztor św. Alberta jest oddalony od centrum stolicy o niecałą godzinę jazdy samochodem. Zaletą jego położenia jest bliskie sąsiedztwo Katolickiego Uniwersytetu Fu Jen (czyt. Fu Ren). Aby dostać się na jego spory kampus wystarczy przejść z klasztoru około 5 minut. Mam wrażenie, że życie naszych braci związane jest w

większym lub mniejszym stopniu z działalnością tego Uniwersytetu i upływa w jego cieniu. Tu np. wyklada misjologię hiszpański dominikanin Miguel Peres, który często też zagląda do Chin kontynentalnych. Ostatnio na prośbę jednego z tamtejszych uniwersytetów w Xiamen zaczął pracę nad przekładem na chiński dzieła Vittorio Rici, misjonarza z XVII w: „Działalność zakonu Kaznodziejskiego w Cesarstwie Chińskim”. Praca ma zostać opublikowana w Pekinie w 2007r.

Na uniwersytecie Fu Jen poznają język i kulturę chińską nasi bracia z Polski, a nawet z Ukrainy. Jest to też miejsce, w którym może dojść do nieoczekiwanych spotkań i rozmów ludzi pochodzących z różnych kultur. Dla mnie dużym wydarzeniem była wizyta pani Aleksandry Siodmak, doktorantki z Uniwersytetu Jagiellońskiego badającej „strukturę światopoglądu chińskich chrześcijan”. Zbieranie materiałów do tej pracy polega na ankietach skierowanych do ok. 20 ostatnio ochrzczonych w Fu Jen studentów.: jak rozumieją oni dany fragment Pisma św. ze swojego punktu widzenia? Pytania dotyczą takich spraw jak natura świata, natura człowieka: grzech i zbawienie, obraz Boga, życie po śmierci i wyobrażenia eschatologiczne, podstawy moralne i obyczaje.

Prowadziliśmy bliską misjonarskiemu sercu rozmowę o inkulturacji i akulturacji dotyczącą zresztą nie tylko Chińczyków, ale i innych mieszkańców Azji. Zastanawialiśmy się nad tym co się da przenieść z danej kultury do chrześcijaństwa, a co nie. Chińska kultura i religijność opiera się przecież w dużej mierze na przemyśleniach Konfucjusza i Mencjusza. Pani Siodmak zwraca uwagę na przykład na sprawę „synowskiego oddania” tzw „filial piety”, idei bardzo mocno zakorzenionej w Azji. Jak odnieść ją do ewangelicznych „wyrzeczeń”: „Przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową, i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy. Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien”. (Mt 10:35-37) Albo do tekstu: „do innego rzekł: 'pójdź za mną'. Ten zaś odpowiedział 'Panie, pozwól mi najpierw pogrzebać mojego ojca'. Odparł mu 'zostaw umarłym grzebanie ich umarłych, a ty idź i głos królestwo Boże.’”(Łk 9:59-60) Co zrobić z nauką Konfucjusza, że „tylko mędrcy znajdują się w Niebie”, w odniesieniu do nauki św. Pawła o krzyżu: „ Tak więc gdy Żydzi żądają znaków, a Grecy szukają mądrości, my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan. Dla tych zaś, którzy są powołani, tak wśród Żydów, jak i spośród Greków-Chrystusem, mocą Bożą i mądrością Bożą. To bowiem, co jest głupstwem u Boga przewyższa mądrością ludzi, a co jest słabe u Boga, przewyższa mocą ludzi” (I Kor. 1:22-25) .

W Japonii widzę ten problem także w odniesieniu do słów i pojęć chrześcijańskich, które chcąc nie chcąc pochodzą z buddyzmu lub shintoizmu, na czele z „kami” czyli „Bogiem”. Pierwsi misjonarze chrześcijańscy w XVI w. aby uniknąć wszelkich skojarzeń z tym pochodzącym z shintoizmu słowem używali po prostu greckiego „Zeus”. Dziś jednak i protestanci i katolicy w Japonii we wspólnym tłumaczeniu Pisma św. - w „Nowym Wspólnym Przekładzie (Shin Kyodo Yaku)- zdecydowali się na „kami”, które najwidoczniej nie ma w sobie wybitnie antychrześcijańskich konotacji. Niekiedy jednak głębsze wejście w religie azjatyckie może oznaczać utratę własnej chrześcijańskiej tożsamości. Oglądałem kiedyś pracę doktorską napisaną przez pewnego Amerykanina mieszkającego w Japonii. Praca nosiła tytuł „Nonduality” (dosłownie „nie-dwoistość”). Jej autor w rozmowie ze mną przyznał, że w trakcie jej pisania stał się buddystą. Słuchając tego miałem wrażenie, że mógłby on swoje życie pokierować zupełnie inaczej i niekoniecznie zrywać z chrześcijaństwem. Może je za mało znał, a ja nie umiałem wtedy użyć właściwych argumentów? A może był to tylko kolejny epizod-etap na jego drodze do Emaus? Mając za sobą i takie spotkania jakże miło spotkać ludzi, którzy podobnie jak pani Siodmak przechodzą przez gąszcz akulturacji i między religijnego dialogu nie tylko z naukowym entuzjazmem, ale i z głęboką wiarą w Chrystusa.

Obejrzeliliśmy kilka taoistycznych świątyń położonych w centrum miasta. Wśród modlących się było dużo kobiet w średnim wieku. Zapewne modliły się za swoje rodziny: mężów i dzieci. Oryginalność tych modlitw polega na rzucaniu specjalnych klocków na posadzkę przed figurą któregoś z bóstw. Po sposobie w jaki upadną te klocki

odgaduje się wolę bóstwa i szuka rozwiązania jakiegoś życiowego problemu. Niektóre kobiety są najwyraźniej zadowolone z uzyskanej odpowiedzi. Inne wytrwale dalej się modlą. Ich modlitwa kojarzy mi się z angielskim określeniem „soul searching”, które Wielki Słownik PWN-Oxford (Warszawa 2004) tłumaczy – nie jestem pewny czy właściwie – jako „zastanowienie”. Następną zadziwiająca modlitwa to „palenie pieniędzy”. Polega ona na wrzucaniu specjalnych kolorowych „pieniędzy” do przyświątynnych pieców i palenie ich tam. O. Andrzej wytłumaczył mi, że czynność ta ma za zadanie „uspokojenie i wyposażenie” zmarłej duszy w jej drodze poprzez zaświaty. „Palenia pieniędzy” najlepiej dokonywać tuż po śmierci. Dotyczy ono zwłaszcza tych, którzy zmarli nagle np. w wyniku wypadku drogowego.

Herbata rośnie w Chinach

Na chińskim Tajwanie nie sposób nie zauważyć sklepów sprzedających herbatę, zwłaszcza popularną na całym świecie Oolong, znaną w Polsce jako „Ulung”. Wymowa tej nazwy jest odmienna w różnych językach. W Japonii – podobnie jak na Tajwanie – jako napój towarzyszy często konsumowaniu np. „obiadu z pudełka”. Jej nazwę wymawia się jako „u-roncha”(czyt. u-roncia). Wielu Japończyków zapewne sądzi, że tak brzmi nazwa tej herbaty używana na całym świecie. Okazuje się, że nie. Nie zapomnę epizodu z podróży, kiedy jechałem z japońską pielgrzymką do Polski. Lecieliśmy samolotem KLM przez Amsterdam. W czasie spożywania posiłku na pokładzie samolotu do naszych foteli podeszła rośła Holenderka z sakramentalnym pytaniem: „czego chcieliby się państwo napić (what would you like to drink)”? Jedna z japońskich babć, która nie znała angielskiego, ale domyśliła się o co pyta stewardesa, słabiutkim głosem odpowiedziała : „u-roncha”. Rośła Holenderka zadrżała. Był to chyba dla niej szok kulturowy, jakieś zderzenie z nieznaną jeszcze kulturą azjatycką. Pospieszyłem z pomocą i dodałem, że chodzi o „chińską herbatę (chinese tea)”. Już mniej pewna siebie stewardesa przyniosła plastikową buteleczkę tegoż napoju przyrządzonego chyba w Japonii, a może na Tajwanie?

Dla mnie nowe spotkanie z herbacianą kulturą było przede wszystkim spotkaniem z jej specyficznym smakiem. Aby pokazać mi jak rośnie tajwańska herbata o. Andrzej wybrał specjalnie górską drogę naszej samochodowej przejażdżki. Miejscem docelowym była wschodnia część wyspy i opisany poniżej wąwóz Taroko. Pola herbaciane rozciągają się na stokach górskich. Herbata musi mieć specjalny mikroklimat. Niezbędnym warunkiem dla jej wzrostu są obfite opady. Zaparkowaliśmy samochód w jednej z mijanych górskich miejscowości i udaliśmy się do herbacianego sklepu. Niebawem podbiegł do nas młody sprzedawca i zarazem właściciel domu. Okazało się, że pochodzi z rodziny, w której z dziada pradziada uprawia się i sprzedaje herbatę. Rozpoczęła się długa degustacja różnych odmian. Pijałem w życiu różne herbaty, ale tak dobrych jeszcze nie. Degustacja zaczęła stopniowo koncentrować się na dwóch odmianach : jednej „młodszej” bardziej zielonej i odznaczającej się wysokimi walorami smakowymi, i drugiej „starszej”, ciemniejszej i mającej walory lecznicze. Ta druga, jako „rozgrzewająca ciało” przeznaczona jest zwłaszcza dla ludzi starszych. Zakupiłem „młodszą”. Degustując te różne herbaty korzystaliśmy ze specjalnego urządzenia nazywanego niekiedy „tajwańskim patentem herbacianym”. Pozwala ono na zaparzenie smacznej herbaty kilka razy, na ogół 3-4 razy. Za pierwszym razem jednak herbaty się nie pije. Jest to tylko jej „splukiwanie”. Zaparzana trzeci raz jest chyba najsmaczniejsza.

Taroko

Z gór zjechaliśmy na wschodnie wybrzeże wyspy. Przez dłuższy czas jechaliśmy brzegiem wyspy w kierunku parku krajobrazowego Taroko. Jego nazwa pochodzi od jednego z zamieszkujących tam plemion tajwańskich aborygenów. Przewodniki wydane przez Lonely Planet i japońskie JTB, które czytałem przygotowując się do tego wyjazdu, zachwalały „dramatyczną scenerię” tamtejszych kanionów. Wjechaliśmy znowu w góry drogą i zarazem doliną rzeczną o stromych skalistych zboczach mijając wiele tuneli. Po drodze wysiedliśmy z samochodu, aby

obejrzyć ze swoistych galeryjek i punktów obserwacyjnych wodne otchłanie, wodospady i wierzchołki gór, o wysokości ponad 3000 m. Jednak Taroko miało nam dostarczyć nie tylko przyjemności oglądania „dramatycznych scenerii”, ale i ...doświadczeń religijnych. Mieliśmy bowiem zatrzymać się w Thienhsiang, w kościele katolickim i zarazem schronisku turystycznym, polecanym przez wspomniane przewodniki. Przy coraz lepszej widoczności (dobry znak na jutro) dojechaliśmy do kościoła. Przywitała nas pani Chiou (czyt. Ciou) Mieling, katechetka zarządzająca schroniskiem. Pochylona nad grządkami w przykościelnym ogródku i z dużym, prostym, żelaznym krzyżem na szyi, takim jakie nosi wiele zakonnic, na pierwszy rzut oka wyglądała jak siostra zakonna, a nie jak się później okazało samotna matka trojga dorosłych dzieci. Jeszcze dwa lata temu mieszkał tu misjonarz – Szwajcar należący do działającego w tych okolicach zakonu Kanoników Regularnych. Podeszły wiek i choroba serca sprawiły, że musiał powrócić do swojej ojczyzny. Zamieszkaliśmy w jego pokoju nietkniętym przez ostatnie dwa lata. Z dużymi fotografiami Jungfrau powieszonymi na ścianach i z widokami na wysokie góry, pomieszczenie przypominało raczej pokój w jakimś szwajcarskim schronisku. Msze św. odbywają się w pobliskim małym i zadbanym kościele kilka razy w miesiącu. Dojeżdża na nie ksiądz Tajwańczyk z pobliskiego miasta Hualien. Poza tym w celu odbycia rekolekcji często przyjeżdżają tu pracujący na Tajwanie misjonarze i misjonarki.

Pani katechetka choć rozmawiała z o. Andrzejem po chińsku reprezentuje miejscowych aborygenów. Rysy jej ciemniejszej od chińskiej twarzy kojarzą mi się z rysami ludzi z plemienia Ainu mieszkającego na Hokkaido w północnej Japonii. Kobieta pięknie śpiewa i zapewne równie pięknie tańczy. Z tej racji w Japonii prowadziła już 7 razy seminaria-warsztaty dotyczące pieśni i tańców swojego i pokrewnych plemion. Ucząc Japończyków, sama nauczyła się japońskiego. Możemy więc ze sobą swobodnie rozmawiać po japońsku. Ojciec Andrzej poprosił mnie o wygłoszenie homilii w tym języku w czasie mszy św. następnego dnia rano.

W Tienhsiang mieści się duże opactwo mniszek buddyjskich. Byliśmy na wyspie, na którą z pobliskich Chin promieniowało 13 różnych szkół tej filozofii i religii łączących często naukę Buddy z myślami Konfucjusza i Mencjusza (Lonely Planet, p.37). Dwie młodzieńki nowicjuszki zaprosiły nas do kupienia czegoś w przyświątynnym kiosku. Wywiązała się miła rozmowa. Uśmiechnięte szczebiotały i po chińsku i po angielsku. Zapytały mnie – mając zapewne na uwadze klientów japońskich – jak jest po japońsku „zapraszamy do sklepu.” Widziałem ich rozłożone modlitewniki. Tak jakbyśmy spotkali się z jakimiś młodymi siostrzyczkami w Polsce, które odmawiały w wolnych chwilach swoje nieszpory. Widoczny z daleka duży i ładny posąg Buddy w górach nad opactwem przypomniał mi, że jesteśmy w Azji. Mając go nad sobą z jednej strony, a kościelny krzyż, też widoczny z daleka z drugiej, obeszlśmy całą miejscowość. Gdy wyszliśmy z opactwa przy wejściu na główną drogę, przeszliśmy obok starszej mniszki zbierającej ofiary na renowację tegoż opactwa.

Następnego dnia rano była piękna, słoneczna pogoda. Pani Chiou poleciła więc przejść się po pobliskim szlaku turystycznym. Polecały go też przewodniki. Szlak nazywa się Paiyang gdyż wiedzie do wodospadów o tej nazwie. Rozpoczyna się o kilometr od naszego kościoła i prowadzi przez kilka długich tuneli. Przydały nam się latarki. Z tunelu wyszliśmy na chwilę na drogę z widokami na wodospady i wysokie góry po to aby wejść zaraz w następny tunel. Mniej więcej w połowie szlaku zatrzymały nas czerwone wstążki i napis, że z powodu szkód spowodowanych tajfunem dalsza droga jest zamknięta. Trochę odetchnąłem z ulgą, bo z powodu wysokiego poziomu wody w tunelu „Lonely Planet” zalecał włożenie w tym miejscu „stroju nurka”.

Japoński kolonializm – nie zawsze zły

W 1894 r. w wyniku przegranej przez Chiny wojny z Japonią Tajwan znalazł się pod okupacją japońską. Trwała ona do końca drugiej wojny światowej. Starsi Tajwańczycy znają japoński bo uczyli się go przed wojną w szkołach. Zaś starsi Japończycy używają do dziś japońskich nazw tajwańskich miejscowości. Na przykład

znajdujące się na południu wyspy półtoramilionowe miasto Kaohsiung bywa nazywane w Japonii „Takao”. W przeciwieństwie jednak do innych azjatyckich nacji, które skosztowały japońskiej „walki o kulturę”, zwłaszcza Koreańczyków, Tajwańczycy lubią posługiwać się językiem japońskim. W modzie jest na przykład używanie japońskiego „moshi, moshi” czyli „hallo” przy prowadzeniu rozmów telefonicznych. Sami Japończycy uważają, że wśród wszystkich otaczających ich wyspy nacji, właśnie Tajwańczycy są najbardziej do nich przyjaźnie usposobieni. Istnieje nawet interesujące słowo, które Japończycy odnoszą do Tajwańczyków „shinnichi”, czyli „przyjacielskie nastawienie do Japonii”.

Dobre stosunki między Japonią i Taiwanem utrzymują się do dziś. W największym muzeum sztuki chińskiej na świecie „Gugong Bowu Yuan” (National Palace Museum), mieszczącym się w grotach w pobliżu Tajpei – (głównie dlatego żeby 700'000 zgromadzonych tam skarbów narodowych nie zostało zniszczonych np. atakiem atomowym z terenu Ch.R.L),- znajduje się także wcale pokaźny dział japońskiej sztuki buddyjskiej. Setki średniowiecznych posążków Buddy zostały podarowane, jak głosi informacja przy wejściu, przez pewnego kolekcjonera mającego podwójne obywatelstwo (i nazwisko), który obecnie mieszka w Tokio. Chyba połowa zwiedzających muzeum to Japończycy, uczestnicy wycieczek lub rodziny, które przyjechały tu na krótki wypad turystyczny. Trzy i pół godziny lotu samolotem z Tokio to niewiele więcej niż np. lot na wyspę Ishigaki, wysuniętą najdalej na południe wyspę Japonii.

Japończycy przed wojną nie tolerowali żadnych prób odzyskania niepodległości przez podbite kraje, a podczas wojny ich postępowanie w stosunku do podbitych narodów było okrutne. Podobnie było na Tajwanie. Światowe dzienniki oraz organizacje humanitarne co jakiś czas publikują protesty i zdjęcia m.in. Tajwanek, dziś już w bardzo podeszłym wieku, zmuszanych w czasie wojny do prostytucji na rzecz armii cesarskiej. Nadal domagają się one od Japonii odszkodowań za poniesione krzywdy. Znana jest sprawa żołnierzy pochodzących z Tajwanu, których siła wcielano do armii japońskiej i którzy teraz w przeciwieństwie do Japończyków nie otrzymują z tego tytułu żadnych emerytur. O dziwo, bardziej jednak niż te rażące przykłady okrucieństwa i niesprawiedliwości pamięta się tutaj zostawione przez Japończyków pierwsze w tym kraju uniwersytety, szkoły, infrastrukturę: kolej, drogi, mosty, tunele, porty i zakłady przemysłowe.

Dobre relacje między dwoma krajami dotyczą jak już wspomniałem nie tylko przeszłości, ale i teraźniejszości. W Tajpei można poczuć się niekiedy jak w Tokio, zwłaszcza kiedy wchodzi się do domu towarowego „Mitsukoshi”, jakby żywcem przeniesionego z tokijskiego Nihonbashi. Podobnie jak w Tokio wejścia do niego pilnują dwa miedziane lwy, a panienki windziarki mają na głowie figlarne kapelusiki. To samo dotyczy także okolic wokół wieży Tajpei 101 (101 oznacza, że wieża liczy 101 pięter), i należy do najwyższych budowli na świecie (wysokość 508 m). Są w niej liczne japońskie restauracje i sklepy lansujące m.in. japońską popkulturę młodzieżową. Przy wejściu do windy wyprodukowanej przez Toshibaę znajduje się pamiątkowa tabliczka oznajmiająca komu w tokijskim przedstawicielstwie należy dziękować za zainstalowanie tego „wyjątkowo nowoczesnego urządzenia”. Rzeczywiście jest to urządzenie supernowoczesne i zarazem komfortowe. Po raz pierwszy wzbijałem się w górę z taką szybkością i nie czułem przy tym dyskomfortu w uszach. Są także inne japońskie projekty dotyczące komunikacji w stolicy, a nawet w całym kraju. W końcowej fazie znajduje się budowa sieci superszybkiego pociągu (shinkansen), takiego jaki jeździ w Japonii od 1964 r. Zakończenie budowy nieco się opóźnia. Podobno kooperacja japońsko - niemiecka (z firmą Siemens) nie wyszła tej budowie na dobre z racji odmiennych technologii. No i nowa linia metra budowana też przez japońskie firmy. Połączy ona m.in. Uniwersytet Katolicki i nasz klasztor z centrum prawie trzymilionowego Taipei. Kiedy porówna się trwającą kilkanaście minut jazdę metrem do zajmującej 45 minut jazdy autobusem w spalinach i w zgiełku wciskających się zewsząd setek „motorków” należy to uznać za wielki krok w kierunku budowania nowoczesnej światowej metropolii.

„xiexie” znaczy dziękuję”, albo o chińskiej lekkości bytu

Po powrocie do Tokio już następnego dnia muszę w duchu solidarności z więzionym (a może już nie żyjącym) w Chinach młodym reżyserem filmowym, wysłać o nim notatkę do KAI w Warszawie: 34 – letni Hao Wu, 22 lutego b.r. został wezwany bez podania powodu przez komendę policji w Pekinie i potem wszelki ślad po nim zaginął. Jego siostra, Nina pisze każdego dnia poświęcony mu dziennik na jednej z internetowych stron. Przyjaciele wskazują na dwie możliwe przyczyny aresztowania. Wu kontaktował się telefonicznie z Gao Zhishen, chińskim adwokatem specjalizującym się w problemach praw człowieka. Druga przyczyna to praca nad udokumentowaniem działalności chińskiego Kościoła "podziemnego". Niedługo potem wysłałam do KAI dwie „pogodne” depesze dotyczące Kościoła w Chinach. Jedna dotyczy przygotowań do Azjatyckich Dni Młodzieży, które odbędą się latem b.r. Hong-Kongu, a druga to wypowiedź Tajwańskiego kardynała Paula Shan Kuo-hsi, ordynariusza diecezji Kaohsiung o tym, że „w komunistycznych Chinach zapanuje większa wolność religijna, a w niedługim czasie nastąpi znaczący wzrost liczby chrześcijan.” Podkreśla on, że pomimo różnic między Watykanem i rządem w Pekinie w kwestii święcenia chińskich biskupów „sytuacja Kościoła w Chińskiej Republice Ludowej jest o wiele lepsza niż kiedykolwiek przedtem.”

Do Japonii przybywa coraz więcej Chińczyków z Tajwanu, z Hong-Kongu, a zwłaszcza z Ch.R.L. Są to obecnie przeważnie młodzi ludzie, studenci, a także młode rodziny, zapewne turyści.

Jeszcze kilka lat temu, gdy słyszałem język chiński na przykład w czasie jazdy tokijskim metrem, oglądałem się i zastanawiałem: skąd mogli przybyć ci ludzie, w jakim celu?. Dziś w ogóle nie ma sensu stawiania takiego pytania, bo za dużo ich tu jest. Przypomina mi się związany z tym kolejny epizod, wyjazd zima tego roku do kurortu narciarskiego Zao, w prefekturze Yamagata, w północnej Japonii. Gdy wsiadaliśmy z moim współbratem o. Czesławem Forsysem do gondolowego wyciągu mającego zawieźć nas na szczyt góry i na narciarski zjazd, w grupie kilkudziesięciu czekających byliśmy jedynymi, którzy rozmawiali ze sobą innym językiem – nie tylko polskim, ale i japońskim – niż chiński.

I odwrotnie, wyjazd do Chin z Japonii nie jest już wyprawa w stylu „Silk Road” – serialu telewizyjnego sprzed 25 lat, który pokazując pierwszych pionierów turystyki w Chinach przybliżał Japończykom nieznane części tego kraju. Rozwija się więc wymiana nie tylko turystyczna, w którą włączają się nawet moi miejscowi współbracia. Niedawno do Shanghaju poleciał japoński dominikanin, o. Hisao Miyamoto, profesor filozofii na prestiżowym Uniwersytecie Tokijskim, zaproszony z wykładami przez tamtejszy uniwersytet. Wrócił zafascynowany najszybciej rozwijającym się obecnie miastem na świecie. Twierdził nawet, że my Dominikanie „powinniśmy przenieść centrum naszego oddziaływania z Tokio, gdzieś bliżej Chin, np. do Nagasaki”. Wątpię jednak aby ten pomysł zmaterializował się w najbliższej przyszłości gdyż i w Tokio mamy, dzięki Bogu, dość zajęć.

Do Tokio przyjeżdża jak wspomniałem wielu młodych Chińczyków. Niektórzy z nich, pewna rodzina naukowców z Hong-Kongu i inni, zaglądają na mszę św., którą co tydzień odprawiam dla wspólnoty sióstr Sacre Coure, w Uniwersytecie Seishin (Serca Jezusowego). W klasztorze, oprócz kilkunastu Japonek i jednej Irlandki, jest 5 sióstr Chinek. W 1950 r. musiały opuścić swoją ojczyznę i przenieść się do Japonii. Obecnie mogą już tam jeździć i odwiedzać swoje rodziny. Ale oczywiście każdy znak stamtąd, jakaś modlitwa w intencji tego kraju są przez nie mile i entuzjastycznie przyjmowane. To dzięki nim na naszą mszę przychodzą te chińskie rodziny. I to właśnie zwłaszcza ze względu na nie przywoziłem z Tajpej „obowiązkowy” w naszej kulturze prezencik, tzw. omiyage : tajwańskie ciastka ananasowe. Ile się z tego cieszyły. Ile słyszałem od nich „xiexie” (czyt. Szieszie) czyli „dziękuję”. Były to też pierwsze chińskie słowa, które już dużo wcześniej nauczyłem się od nich.